Cena numeru 12 zł.

RÓZGI

BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok II 13 kwietnia 1947 r. Nr. 16 (36)



Rys. KAZIMIERZ GRUS

PIERWIOSNKI

STANISŁAW SOJECKI

Lekcja demokracji

„Pytałeś często, mój miły bracie,
O rzecz, co zdaje się prosta:
Jak masz rozumieć tę Demokrację,
Wokoło której tak głośno.

Czy deklamować trzeba co wieczór,
Niby paciorek codzienny,
Że Demokracja ma nas w swej pieczy
I, że to fakt jest zbawienny?

Czy trzeba krzyczeć — niech żyje reżym! —
Tak jak to było przed laty,
Na cześć ministrów w chwalbę uderzyć,
Pochlebne wrzeszcząc kantaty?

Pytasz, czy staniesz się postępowym,
Jeśli pochwalisz ten ustrój?
Albo, że zespół posłów sejmowych
Bardzo ci przypadł do gustu?

I czy powtarzać, wkółko, że coraz
Jest lepiej w naszej krainie,
A jutro będzie lepiej niż wczoraj,
Bo Rząd nasz jest na wyżynie?

Lub, czy opiewać masz ideały,
Na których kraj nasz się oparł? —
Zaczynać wszelkie swoje pochwały
Od robotnika i chłopa?

Nie trzeba! Zbędna każda owacja —
Nie bujam — uwierz mi, bracie! —
Taka jest bowiem ta Demokracja,
Że od słów woli — twą pracę! — — —

Celem usunięcia usterek kolportażu Redakcja „Rózeg" prosi wszystkich o nadsyłanie w tej sprawie swoich informacji i reklamacji

STEFAN STEFAŃSKI

Różne nasze dzienne sprawy

Mimo utyskiwań na ciężkie czasy stwierdzić należy, iż święta wielkanocne b. r. były obchodzone nader hucznie. Już mianowicie od świtu Wielkiej Soboty ulicami miast i szybami domów wstrząsał donośny, a powtarzający się często huk petard tudzież żabek, przyrządzonych z popularnego kalichloricum i innych substancji o własnościach wybuchowych. Tradycja? Zapewne. I to b. silna. Silniejsza niż np. Dz. URP Nr 11 poz. 86 oraz Dz. URP Nr 80 poz. 555, na podstawie których wydano ostre rozporządzenia porządkowe o zakazie strzelaniny w czasie świąt Wielkiej Nocy.

Wydano, zabroniono i zagrożono, a jednak grzmiało często od „kalafiorków". Rozporządzenie porządkowe (drukowane we wszystkich gazetach) przydało się właścicielom składów aptecznych i drogerii do opakowania sprzedawanego za ciężką forsę kalichloricum vel chloranu potasowego vel soli Bertholeta...

* * *

Nie tylko Dz. URP jego numery i pozycje dają podstawę do wydawania rozporządzeń porządkowych. W skali ogólnoludzkiej podstawę taką stwarza troska o pokój, dobro i bezpieczeństwo całego świata.

I tu widzimy nieuczciwych „drogerzystów", którzy nie zważając na zakazy moralne i prawne dostarczają środków wybuchowych różnym chuliganom i aferzystom międzynarodowym.

Stąd „strzelanina" w Hiszpanii, Grecji czy Chinach. I to bynajmniej nie z „kalafiorków"; petard, żabek i straszaków, ale taka „naprawdę": z pocisków karabinowych i armatnich oraz bomb lotniczych.

Ale cóż to wszystko obchodzi politycznych drogerzystów Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych? Nie grozi im przecież żadna odpowiedzialność. Nawet ta drobna w t. zw. drodze administracyjnej...

* * *

Święta Wielkanocne były u nas — jak zaobserwowaliśmy — dniami wyjątkowo wolnymi. Wolnymi od tłoku w kinach. Zjawisko to nastraja raczej optymistycznie.

Jakaż bowiem siła mogła odciągnąć aż na dwa dni lwią część społeczeństwa od ulubionej, pasjonującej i atrakcyjnej onanii optycznej? Ano, jedynie święcone na odpowiednim poziomie. Rozkosz dla brzucha spowodowała rezygnację z rozkoszy dla „ducha".

Oczywiście, dalecy jesteśmy od wyciągania stąd pochopnego wniosku: byczo jest, ale bądź co bądź...

Brak runu na kina w okresie świąt pozwolił nam zwiedzić kilka bioskopów łódzkich i stwierdzić wydatne podwyższenie poziomu. Poziomu cen za bilety. Przeszło o 100 proc.

Ponadto dostrzegliśmy radosny fakt Zmartwychwstania filmu polskiego. Tego mianowicie — z przed wojny. „Bolek i Lolek", „Paweł i Gaweł", „Robert i Bertrand", „Wicek i Wacek" itd.

„Każden jeden" z tych filmów to gwóźdź (do trumny) przedwojennych sezonów. Ano, nic dziwnego. PP „Film Polski" ma nowiutkiego dyrektora. Inż. Albrechta z BOS'u. A BOS, wiadomo, potrafi otwierać widok na ruiny...

GEN. FRANCO OGŁOSIŁ HISZPANIĘ MONARCHIĄ PROKLAMUJĄC SIĘ GŁOWĄ PAŃSTWA



Rys. Tadeusz Ulatowski

Zmiana (u) stroju

ADAM ROGALSKI

Trzy anonimy

Pan Teofil Kopytko najspokojniej pił poranną kawę, gdy nagle zadzwonił dzwonek. Dzwonek zawsze zresztą dzwoni nagle. Pan Kopytko najspokojniej poszedł do drzwi i przekonał się, że to listonosz.

— List do szanownego pana — powiedział.

— Dziękuję — odparł Kopytko. Gdy wrócił do pokoju, żona spytała go najspokojniej:

— Kto to dzwonił?

I pan Kopytko bardzo spokojnie

— Listonosz. Przyniósł list. otworzył list. Ale gdy przeczytał pierwsze słowa — stracił cały spokój.

„Stary rogaczu!" — pisało tam czarno na białym — „Czy wiesz, tępa idioto, że żona zdradza ciebie w każdy czwartek z jednym szabrownikiem? Radzę ci, niedorajdo życiowa, żebyś przyszedł w czwartek o piątej po południu do kawiarni „Raj". Przekonasz się, fajtłapo zbolała! Życzliwy."

Pan Kopytko zbladł ponad śnieg.

— Kto pisze? — spytała żona obojętnie.

— Życzliwy... To jest — nic ważnego!... Prospekt jakiejś księgarni...

— Aha! — i pani Kopytkowa spokojnie piła dalej kawę.

— Wiesz — powiedziała w pewnej chwili niedbale — muszę po południu wyjść. Kopciszewska prosiła mnie, żebym poszła z nią do szewca. Chce sobie zamówić pantofle i prosi, żebym jej doradziła fason.

— Ach, fason!... — zgrzytnął zębami pan Kopytko. — A jaki to dzisiaj dzień mamy?

— Nie wiesz? Czwartek.

— Czwartek... Hm... To pewnie wyjdziesz przed piątą?

— Tak. A skąd wiesz?

— Tak sobie pomyślałem... — wysapał pan Teofil.

Żona zaniepokoiła się.

— Co ci jest? — spytała.

— Mnie?... Nic. Czuję się świetnie! Wspaniale!... Idź sobie o piątej z Kopciuszewską do szewca!

Żona wzruszyła ramionami.

— Jesteś dziwnie zdenerwowany — powiedziała z lekką urazą.

Przed piątą wyszła. Pan Kopytko śledził ją ze zręcznością Sherlocka Holmesa. Ale pani Kopytkowa nie poszła do żadnej kawiarni. Była istotnie u Kopciszewskiej, a potem przykładnie wróciła do domu. Pan Kopytko pomyślał z rozrzewnieniem:

— Podły anonim! Ona mnie jednak nie zdradza, kochanie moje najdroższe!

Ale nazajutrz przy śniadaniu otrzymał drugi list:

„Cymbale rutynowany! Pewnie myślisz, że z rogami, to kawał? He, he! Po prostu on wyjechał nagle i dzwonił o tym do twojej żony. Ale dziś spotka się twoja najmilsza z jednym aktorem. Wiesz gdzie? Przed kinem „Zwycięstwo". A potem pójdą... Ale co cię to obchodzi — dokąd pójdą? Ty głupi frajerze!! Bardzo życzliwy".

Pan Kopytko szalał. A więc to tak?! No, ale on nie da się wyprowadzić w pole!

— Czy wychodzisz dzisiaj? — spytał żonę obojętnie.

— Tak. O szóstej. Fifakowska ma grypę. Muszę ją odwiedzić.

Pan Kopytko uśmiechnął się szatańsko. Wieczorem znów śledził swą małżonkę. Ale pani Kopytkowa rzeczywiście udała się do Fifakowskiej, po czym przykładnie udała się do domu. Pan Kopytko zmarzł, czekając na nią dwie godziny na ulicy. Kichał i klął perfidnego informatora. Nazajutrz znów otrzymał liścik.

„Panie K.! Bardzo przepraszam, ale tą piątkowa randka była odwołana już dawniej. Ten aktor musiał wyjechać nagle na gościnny występ. Ale dzisiaj — to jest w sobotę — zawodu nie będzie. Pańska dostawczyni rogów spotka się z jednym młodym spryciarzem w barze „Pod Dwunastką" na ulicy Lipnej, róg Sarmackiej. Pa, ilimonie beznadzejny! Ktoś życzliwy".

Nasz bohater znowuż stracił spokój. Zatelefonował do przyjaciela i półgłosem zapytał — czy nie wie, gdzie jest ulica Lipna? Przyjaciel odparł, że takiej ulicy nie ma. Ale mimo to pan Kopytko niestrudzenie śledził swą żonę, gdy wyraziła chęć udania się do krawcowej. Ale od krawcowej wróciła prostu do domu.

W poniedziałek pan Kopytko otrzymał czwarty list:

„Szanowny Panie! Trzykrotnie przekonał się Pan, że Pańska żona jest Mu wierna, jak Penelopa! Otóż tak, jak prawdą jest, że żona Pana nie zdradza, tak samo prawdą jest, że ostatnia rewia w teatrzyku „Beczka Śmiechu" jest rewelacyjna! Mamy nadzieję, że w najbliższych dniach odwiedzi Pan nasz doskonały teatrzyk! Łączymy wyrazy prawdziwego szacunku — Dyrekcja".

Pan Kopytko spojrzał ze skruchą na małżonkę i zapytał czule:

— Czy poszłabyś dzisiaj, duszko, na rewię do teatrzyku „Beczka Śmiechu"?

— Bardzo chętnie! — odparła wierna żona z zadowoleniem.

Przedstawienie było rzeczywiście niezłe. Po spektaklu pan Kopytko powiedział do żony:

— Poczekaj chwilkę, kochanie. Muszę odwiedzić jednego... hm... jednego życzliwego za kulisami!

Gdy pan Kopytko wszedł do kancelarii teatrzyku, natknął się na wysokiego młodzieńca bez zarostu.

— Chciałbym się widzieć z szefem reklamy waszego teatru — rzekł.

— To ja jestem. Czym mogę panu służyć? — odparł młodzieniec.

— Ach, to pan! Chciałem panu tylko zakomunikować — rzekł pan Teofil — że tak, jak prawdą jest, iż program waszego teatrzyku jest zupełnie niezły, tak samo prawdą jest, że zaraz dostanie pan w pysk! Czym może pan służyć? Swoją gębą!!

To powiedziawszy — wymierzył wysokiemu młodzieńcowi siarczysty policzek. Po czym wyszedł sprężystym krokiem.

Szef reklamy pocierał dłonią spostponowaną część twarzy — potem wzruszył ramionami i mruknął z gryzącą ironią:

— I dla takich człowiek wysila się na amerykańską reklamę!... Bydło, ciemna masa!

HENRYK HEINE

RODOWÓD MUŁA

Twój zacny ojciec osłem był —
to prawda oczywista,
lecz przyznać trzeba, matka twa —
kobyła pełnokrwista.

Więc jesteś mułem! Jasne. Fakt.
A duma to nie dowód.
Choć możesz mówić wszystkim w krąg,
że koński twój rodowód.

Że sam Bucefał przodek twój,
a dziad nie byle jaki,
bo pod krzyżowcem znaczył krwią
zwycięskie swoje szlaki.

Że w rodowodzie twoim jest
ten rumak pełen zalet,
na którym siedział Gotfryd cny
wstępując w Jeruzalem.

Że jeden wuj przesłużył wiek
słynnemu Bayardowi,
a z Don Kichotem drugi wuj
w niejeden laur się spowił.

Rzecz jasna, osła wyprzesz się,
na którym Sancho siadał,
i tego, co Dzieciątko wiózł,
tak samo: nie wypada.

Pod oślim uchem kryjesz herb,
gdy on ci się należy;
ty tylko głośniej siebie chwal,
a każdy ci uwierzy.

Spolszczył K. A. Jaworski



— Panie Stachura, gdzieś się pan podział? Choć pan zobaczyć, jak słoń stoi na dwóch łapach!



— Popatrz, te słonie to mają dobrze: odrazu palec w nosie...



— Kocha, lubi, szanuje...

Rys. Tadeusz Ulatowski

KAROL KOWALSKI

Ilustr. ADAM BIEŃKOWSKI

O człowieku który miał dziwne sny

Spotkałem go na ulicy. Miał minę niezwykle ponurą.

— Co się stało? — spytałem.

— Ach, miałem straszny sen.

— Bandyci cię gonili?

— Ach, żeby tylko...

— Przestań „achać" i opowiadaj! — poprosiłem.



— Wyobraź sobie — śniło mi się, że sam Rotszyld zaprosił mnie na kolację. Przysłał wspaniałe auto, które zawiozło mnie do jego pałacu. Lokaj wprowadził mnie do jadalni. — W jadalni stał wielki, długi stół. A na tym stole... Ach, trudno to wypowiedzieć! Co za wspaniałe frykasy!! I jakie wina!...

— No i co?

— Potem wszedł Rotszyld i powiada: „Witam pana! Pan pewnie głodny? Siadajmy do stołu! Janie podawaj!"

— I co dalej?

— I kiedy położyłem sobie serwetkę na kolanach i sięgnąłem do półmiska z homarami, nagle — ktoś wystrzelił na ulicy i przebudziłem się!

— I nic nie zdążyłeś zjeść?

— Ani drobiny! Wyobraź sobie! Raz w życiu trafiała się taka okazja i nie zjadłem ani kęsa, ani nie wypiłem ani kropli! Serce mi się kraje z rozpaczy! ?

Spotkałem go w tydzień później. Minę miał jeszcze bardziej żałosną.

— Co się stało, stary przyjacielu? Czy znowu śniło ci się przyjęcie u Rotszylda i ktoś wystrzelił pod oknem?...

Potrząsnął głową z grobową miną,

— Ach, nie! ale jestem smutny także z powodu snu...

— Cóż ci się śniło?

— Śniło mi się, że zaprosił mnie maharadża Nepalu... wiesz taki strasznie bogaty facet, zamieszkały w Indiach.

— Wiem.

— Otóż zaprosił mnie, także przysłał auto. Nawet ładniejsze, niż Rotszylda. Pojechałem. Radża powiada do mnie: „Słuchaj przyjacielu! Zanim podadzą do kolacji, może zechciałbyś odwiedzić mój harem? Proszę bardzo! Idzie się prosto i na prawo!". Poszedłem. Wchodzę — o matko moja miła! Co za kobiety! Ze sto kobiet — a każda ładniejsza od drugiej! I wszystkie, jeśli chodzi o strój... — tu nachylił się i szepnął mi kilka słów do ucha, bo akurat mijała nas jakaś pensjonarka.

— Co ty mówisz? — spytałem z lekkim podnieceniem.

— Jak ciebie szanuję! A jedna bestyjka, czarnowłosa z czarnymi jak węgiel oczami, podchodzi do mnie i powiada: „Pieść mnie!". Więc ja — cóż? Krew nie woda! Wyciągnąłem ramiona i — i w tym momencie sąsiad włączył radio na całą parę, bo to już było rano. Obudziłem się.

— I nie popieściłeś jej?

— Ani nawet nie dotknąłem! Pech — co??



Zwiesił głowę na piersi i powlókł się smutny ulicą.

Spotkałem go wreszcie wczoraj.

Tym razem był rozpromieniony.

— Jak się masz! — zawołał— Serwus!

— Cześć! coś taki wesoły?

— Bo miałem byczy sen! — odparł i przymrużył oko.

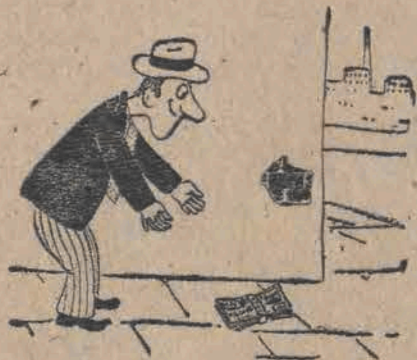
— Opowiedz!

Rozejrzał się bacznie dookoła i szepnął:

— Musimy mówić cicho, żeby się nie sypnęło, bo to walutowa sprawa...

— No??

— Śniło mi się, że znalazłem tysiąc dolarów W nowiutkich setkach!



— Co ty mówisz? I co z nimi zrobiłeś?

— Sprzedałem od ręki!

— Po ile?

— Po 600 złotych.

— Tak tanio???

Przyjaciel spojrzał na mnie z politowaniem.

— Sprzedałem pierwszemu napotkanemu waluciarzowi. A co? Może miałem czekać, aż się obudzę, tak???

BOGDAN BRZEZIŃSKI

MALKONTENTKA

Mówił do lubej pan Bonifacy,
Że za trzy lata będzie inaczej.

Kraj się różami ludziom ukwieni,
Gdy się wypełni ów Plan Trzyletni.

Wszystko stanieje: cukier, kakao,
Teatr też będzie kosztował mało,

Tańsza bielizna, tańsze ubrania —
Wódka, rzecz prosta, też będzie tania....

Stanieje skóra oraz obuwie —
Wierz mi najdroższa, ja ci to mówię!

Ryż będzie tani, tania herbata —
Wszystko to będzie, już za trzy lata!

Na ustach lubej błądzi uśmieszek:
Cóż z tego, kiedy... ja się nie cieszę!

— Ależ kochana, wiem to niezbicie,
Że będzie tańsze o wiele życie!

I z mieszkaniami także się zmieni,
Już nie będziemy tak zagęszczeni!

Każdy otrzyma lokalik zdrowy
I zamkną Urząd Kwaterunkowy!

Będziemy mięso wsuwać we czwartek,
I do kin chodzić bez żadnych kartek!

Każdy mieć będzie forsę w kieszeni...
Ach, za trzy lata — wszystko się zmieni!

Na ustach lubej błądzi uśmieszek:
— Ciebie to cieszy?... Ja sie nie cieszę!

— Czemu ci Plan ten humor pogarsza? —
— Bo za trzy lata już będę starsza!











Rys. Alinka

— A mówiłam, żebyś założył kalosze!

W PALESTYNIE



Rys. Alinka

— Pan jest Anglikiem!
— Tak, a po czym pan poznał?
— Po uniformie!



Rys. Adam Bieńkowski

— Widzisz, jaki skutek listów do redakcji odrazu obniżyli uchwyty w tramwajach!

JERZY ZAJĄCZKOWSKI

Pieśń zdradzonych mężów

skomponowana na inauguracyjny zjazd ZMZ

Małżeński nasz obowiązek
wyłazi nam już gardłami,
więc zawodowy związek
niniejszym zakładamy.
Ten Związek Mężów Zdradzonych,
co w skrócie brzmi: zet-em-zet,
dla naszej samoobrony
działalność rozpocznie wnet.
Refren

Nasz Związek Zdradzonych Mężów
położy męczarniom kres,
a te, które nas ciemiężą
niech zbledną. Dosyć łez.
Minęły czasy sanacji,
gdy rządził terror i strach.
W muzeum, dla dekoracji
od dzisiaj znajdzie się gach!

Od dziś mężowie zdradzani
walczymy o swoje prawa.
Niech żaden z nas swojej pani
nie służy już za parawan.
Myśmy się tutaj zjechali
z wszystkich zaułków i stron.
Tak już nie może być dalej!
Nie chcemy kryć naszych żon!
Refren

Nasz Związek Zdradzonych Mężów...

O drżyjcie cudzołożnicy!
My dzisiaj jesteśmy siłą!
Będziemy na głos krzyczeć
i mścić się, że aż miło.
I każdy wytknie palcami
jednego chociażby z was.
O drżyjcie, drżyjcie przed nami!
O bójcie, bójcie się nas!
Refren

Nasz Związek Zdradzonych Mężów...

TEODOR BUJNICKI

(z teki pośmiertnej)

PRZYSŁOWIA I FRASZKI

I.

Nie mów „hop!", póki nie przeskoczysz. Oto
Za jakiem hasłem iść masz trop w trop,
Aby ci potem mówiono — „Idioto,
Skoroś przeskoczył, poco wrzeszczysz „hop!"?

II.

Pewien — czas swój bardzo ceniąc
Zwykł mawiać: „czas to pieniądz"
I dodawał: „nie mam czasu",
Choć miał forsy niezły zasób.

III.

Jak trudno stwierdzić maksymy najprostsze
Mamy przykłady w Newtonie.
Taki sławny, bo pierwszy dostrzegł,
Że jabłko niedaleko pada od jabłoni.

INTELEKTUALISTCE

— Tę rozmowę z powagą, słuchaną z uwagą
Długo jeszcze, pani, będziem wiedliż?
Chcę poznać prawdę nagą!
Zrzuć więc sukienkę i negliż.

POETCE

Pocóż te wiersze? I bez nich
Urok twój nigdy by nie gasł.
Tyle jest w tobie poezji,
Że się ochwacił Pegaz.

STENOTYPISTCE

Kiedy nad Remingtonem pochyliwszy głowę
Zaczynasz przepisywać najnudniejszy wykaz,
Maszyna wystukuje cyferki różowe,
A szef — nadęty puchacz — zmienia się w słowika.









Rys. Kazimierz Gruś



Rys. Maja Berezowska

Na młodość

Jakoby też rok bez wiosny mieć chcieli,
Którzy chcą, aby młodzi nie szaleli

Jan Kochanowski (1530 – 1584)



KRÓL SZEWCÓW

Czy znacie „króla szewców"? — Napewno. Nie ma on, oczywicie, nic wspólnego ze znanym i powszechnie cenionym cechem szewskim. „Szewcem" określamy mężczyznę bez „klasy", drugorzędnego pod każdym względem, fałszywego elegancika, gogusia, którego ciało astralne nosi za długą marynarkę, za długi płaszcz, a na palcu sygnet, do którego noszenia nie ma żadnego prawa.

Spotykamy go najczęściej w kawiarniach i na dancingach. Oznacza się tym, że zawsze doskonale tańczy i czy jego tancerka jest pod tym względem uświadomiona czy nie, odrazu na miękkich kolanach zaczyna z nią tańczyć „swinga".

Przed wojną nosił chętnie po aktorsku ostrzyżone włosy „na anglika", a w zaawansowanym wypadku „szewiectwa" — baczki. Teraz jednak dowiedział się, że się tego nie nosi, więc przestał.

Ponieważ posiada w sobie duży procent kobiecości, więc lubi oryginalne zwracające uwagę rzeczy do ubrania. Nosi chętnie „giemzowe" półbuty bronzowe, a w zaawansownym wypadku granatowe. Do jasnego długiego płaszcza — granatowy kapelusz.

Ponieważ kocha wszystkie dłużyzny, więc paznokieć u małego palca zapuścił sobie na wydłużoną łopatkę, której używa do kosmetyki ucha. Po takim „Vieheistrze" można go odrazu wśród innych mężczyzn rozpoznać tak samo jak po sygnecie.

Nie zarabia, ale jakoś ma zawsze pieniądze, czasem wśród różowych seteczek siedzą w jego portfelu górale. Ażeby zwiększyć plik banknotów, uczęszcza do klubów karcianych, gdzie zasiada do pokera.

Gdy ma do czynienia z nerwowymi partnerami, zazwyczaj wygrywa, bo tak ich podrażni ciągłą „trzęsinóżką"; którą pod stołem urządza, że z irytacji tracą panowanie nad sobą i grają źle.

Przy bridżu nie można mu wyraźnie nic zarzucić ale ma swoje „szewieckie" chwyty; więc gdy, na przykład jest tak zwanym „dziadkiem"; a nie dowierza zbytnio swojemu partnerowi, to podsuwa z rozłożonych kart te, które uważa za najlepsze do rozgrywki. Przy licytacji, gdy ma słabą kartę, mówi: „jedno maleńkie bez-atu!". W zaawansowanych wypadkach nie mówi „bez atu" tylko: „bez-adu" przez „d". — Gdy pragnie dać partnerowi do zrozumienia, że ma prawdziwą „kontrę" — ryczy na cały głos: „Kontra grzel!" — Pamiętajmy, że w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto umie wyczyniać prestigitatorskie sztuczki z kartami, które wzbudzają podziw głupich damulek.

„Król szewców" chociaż jest raczej godny i poważny, ma i swoje charakterystyczne „powiedzonka". Mówi więc: „kobieta (la fam); „pójdę się rozpłaszczyć do przedpokoju"; w restauracji nie — „proszę płacić" — tylko „proszę płakać"; a wieczorem, gdy odprowadza jakąś damę do domu, musi powiedzieć cytatę z Weyssenhoffa: „Księżyc świeci — kochać chce się".

I na zakończenie jego charakterystyki kilka drobnych szczegółów, rozpoznawczych: zawsze nowe buty, zawsze czyściutko wyprany „trench" kołnierzyk od długiej marynarki zawsze zlekka odstający z tyłu, wzrost przeważnie trochę niższy od średniego. Zegarek nosi z wyraźnym napisem „Schaffhausen", albo; „Omega", ale w środku zazwyczaj jest werk zupełnie innej nieciekawej marki. W zaawansowanych wypadkach nosi parasol w pochewce z bambusową rączką. Dla pań jest zwykle uprzejmy i elegancko się do nich odnosi, oczywiście, żegnając się z którąś z nich nawet na trzaskającym mrozie odsunie jej rękawiczkę, ażeby nie złożyć pocałunku na koźlej skórze, tylko na ludzkiej, do głowy mu nie przyjdzie, że można po prostu uścisnąć rękę damy: na to jest stanowczo za dobrze wychowany. Żeni się tylko i wyłącznie z bogatymi damami. Pod tym względem jest stanowczy i nieubłagany. Wielu kobietom, które nie znają się na „mężczyznach - lipach", podoba się szalenie i wzbudza dreszcze pożądania.

Magdalena Samozwaniec

WITOLD ZECHENTER

ZŁUDZENIA

My, ludzie wielkich miast. na określenie całokształtu życia i bycia takich miasteczek mamy już stare utarte terminy. Mówimy „świat zabity deskami", albo „zapadła prowincja", albo po prostu „nuda"...

Zapominamy. że miasteczko takie, chociaż zabite deskami, chociaż jest zapadłą prowincją, chociaż z jego bladozielonych ogródków, schludnych domeczków i pustych uliczek, po których wałęsają się psy w dobrych lub złych zamiarach i ludzie najczęściej bez zamiarów, zieje śmiertelną nudą, zapominamy, że miasteczko takie ma jednak swoje życie równie jak nasze, wielkomiejskie, pełne szczęścia lub tragedii. zdarzeń katastrof, wypadków i myśli. Inna rzecz, że to, co u nas nie zwróciło by najmniejszej uwagi, w takim Karczewie powiatu chudolskiego wyrasta do rozmiaru odkrycia Ameryki a przynajmniej jajka Kolumba. Ob. sędzia na przykład poślizgnął się bez przenośni, i upadł na kamiennej posadzce sionki w „gmachu sądowym".

Upadł i potłukł się trochę. U nas, w wielkich miastach. któżby o tym wiedział, a nawet wiedząc, zainteresował się? Tymczasem w Karczewie wszyscy zainteresowani! Sędzia upadł! Wieść w pół godziny obiega miasteczko. Tłumy gromadzą się na rynku i komentują wypadek. Doktór pędzi naukos przez uliczki, budząc grozę i szacunek jak u nas zmotoryzowana karetka pogotowia. Wszyscy wiedzą już o sposobie leczenia stłuczonego miejsca. Okłady z zimnej wody! Zainteresowanie ogólne. A gdy sędzia nazajutrz, blady bohater dnia, raczej doby, bo i w noc roznamiętnione umysły zajmowały się żywo jego wypadkiem, już zdrowy, tylko lekko osłabiony kroczy uliczkami do gmachu sądowego, wszyscy patrzą za nim ze współczuciem. gratulują mu powrotu do zdrowia, wyrażają mu niemą wdzięczność za to, że upadł — za to, że się wreszcie coś stało!

I tak jest zawsze. Najmniejsze zdarzenie urasta do rozmiarów katastrofy. Dlatego proszę w imieniu fryzjera Aleksego Ponurka, rodem i zamieszkałego w Karczewie, byście jego tragedię, którą tu opiszę, wzięli do serca, a nie zbagatelizowali i równym zapałali gniewem do jego nieuczciwego konkurenta, fryzjera Filipa Humorowicza.

A było to tak...

Fryzjer Alojzy Ponurek, człek stateczny, tuszy niepośledniej, od niepamiętnych czasów miał piękny zakład „golenia, strzyżenia i układania włosów" przy głównej arterii życia miasteczka Karczewo. Zakład był naprawdę piękny. Lśniąca jak drugie słońce miednica dyndała się na wietrze, wewnątrz cztery fotele, cztery lustra... Prawdziwie europejski zakład. Równomiernie do swych zalet cieszył się zakład pana Ponurka wielkim powodzeniem. Inna rzecz, że był to jedyny zakład fryzjerski w misteczku...

Opływając w dostatki, żył sobie Ponurek wesoły i szczęśliwy. Aż nagle grom z jasnego nieba uderzył! Naprzeciw. tuż naprzeciw lokalu Ponurka, był sobie sklepik — mąka, świece, nafta, zeszyty szkolne, pasta do butów, masło. Właściciel sklepu sprzedał lokal i przeprowadził się do większego który nazwał „Bazarem paryskim". Lokal wynajął niejaki Filip Humorkiewicz. chudy, przymilny, wesoły.

I nagle — pewnego ranka — padł ten piorun! Aleksy Ponurek otwiera swój sklep i wzrok jego pada na duży, piękny szyld na przeciwko:

„Fryzjer Filip Humorkiewicz"

Nie zaraz uwierzył oczom. Aż wreszcie uwierzył. Konkurencja!

Przez parę tygodni Ponurek szalał — z radości. Zakład jego konkurenta świecił pustką. Wszyscy po staremu chodzili do znanego zakładu, nikt nie bywał u Humorkiewicza.

Ale powoli Humorkiewicz coraz rzadziej zaczął wystawać w progu sklepu. Gości Ponurkowi zaczęło ubywać, niespostrzeżenie konkurencyjny zakład zaczął się zapełniać... Spostrzegł to wreszcie Ponurek, robił co mógł, aby nie stracić klienteli. ale nic nie pomagało. Z tygodnia na tydzień spostrzegł Ponurek ubywanie starych klientów. Humorowicz przyjął pomocnika, którego właśnie Ponurek odprawił. Zaczęła się tragedia...

W końcu Ponurkowi zostało kilku zaledwie klientów. Między innymi burmistrz.

— Ten mnie nigdy nie opuści — wzdychał Ponurek — Ale wszyscy inni?

Zastanawiało go to tylko, co robił Humorowicz, że potrafił tak mu odciągnąć klientelę. Nie mógł się dowiedzieć od nikogo tajemnic konkurencyjnego zakładu, gdyż dawni jego klienci unikali go obecnie wstydliwie, a z samym Humorowiczem oczywiście nie zamieniłby ani jednego słowa.

Los dopomógł mu w tym. Przyjechał do Ponurka w odwiedziny dawny jego kolega z ław szkoły powszechnej. Zgodził się pójść na przeciw i wywąchać wszystko. Poszedł i wrócił. Opowiedział wszystko — a Ponurek zbladł.

— A to łotr! — syknął.

— Spryciarz — rzekł kolega.

— Łajdak! — syknął Ponurek.

Zaczęli się naradzać.

Na drugi dzień, zaraz po goleniu burmistrza, rzekł do niego Ponurek:

— Szanowny panie burmistrzu dobrodzieju. Na ręce pana burmistrza dobrodzieja wpłynie jutro drogą urzędową moje pismo w bardzo ważnej sprawie.

Na drugi dzień Ponurek wstał w dobrym humorze. Skończy się nabieranie obywateli przez Humorowicza. który oczywiście musiał sobie wyrobić klientelę wmawianiem w łysych fryzury, a w dzieci zarostu. Ponurek robił tylko to co było potrzeba, na parę włosków na łysinie nie zwracając najmniejszej uwagi!

Stanął w drzwiach lokalu. Ujrzał — burmistrz idzie! Zbliża się. Co? Przechodzi na drugą stronę? Nie odpowiada na ukłon? Co??? Wszedł do lokalu Humorowicza?! Ponurka jakby sparaliżowało. Długa chwila minęła, nim oprzytomniał na tyle, by przebiec ulicę i stanąć w progu sklepu konkurenta. Ujrzał, że burmistrz siedzi w lichym krzesełku z wniebowziętą miną a Humorowicz — nie, to zbyt okropne! — Humorowicz czesze grzebieniem z najpoważniejszym wyrazem twarzy — jego trzy włoski na łysinie!

W krótce potem Aleksy Ponurek zwinął zakład i zniknął z miasteczka.

Filip Humorowicz stał się bogaczem. Ożenił się.

— Jesteś artystą w swym fachu — rzekła mu raz żona, która lubiła górnolotne zwroty.

— Nie — odrzekł Humorowicz — Ja daję tylko złudzenie — a ludzie to lubią...

STANISŁAW SOJECKI

Krytykowi

Twoje żądło mi wytyka,
Iż poprostu piszę zbyt,
Co stanowi w mych wierszykach
Właśnie b. poważny zgrzyt.

W chwilach, gdy ci do wątroby
Chandry się dobiera sęp,
Szukasz kwiatka lub ozdoby,
A znajdujesz prosty dźwięk.

Modnych izmów — mówisz — brak tu,
Sartre na przykład mógłby być,
Dziwisz się, że z zwykłych taktów
Melodyjki lubię wić.

Nie dbam — prawisz — o wytworność
Grubo szyty zwrotki szew —
Ubożuchna u mnie forma,
Ni poezja to, ni śpiew.

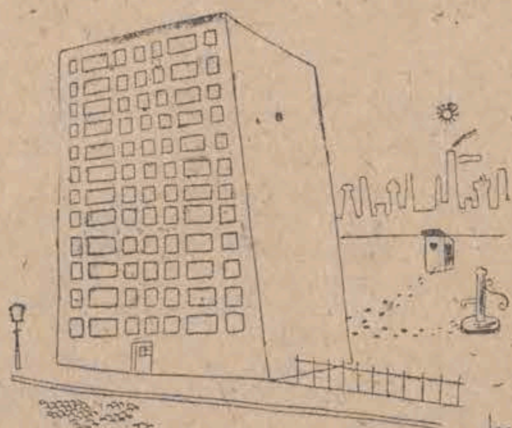
Próżno się, mój miły żalisz —
Bo, czyż każdy bliźni wie
Co to jest egzystencjalizm?
Może tak, a może nie!..:

W ZWIĄZKU Z PRZEMÓWIENIAMI NIEKTÓRYCH DYPLOMATÓW



Rys. Karol Baraniecki

GADA-NINA


Rys. Jan Lenica

ŁÓDŹ


Rys. Zbigniew Kiulin

— Pan powiada, że to dobry parasol? Przecież się niebo widzi!

— A skądby się pan dowiedział, że akurat deszcze przestał padać?



Rys. Jan Lenica

— Lekarz? Lekarz wyprowadził się siąd dwa tygodnie temu...

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

Figiel w pociągu

— Żeby tylko nie przejechać! Tak ciemno, że oko wykol. A konduktor wcale nie woła, jaka stacja.

— A dokąd pani jedzie? — zapytał z niechęcią, wytrącony z drzemki obywatel Pończoszka, otyły kupiec korzenny z Częstochowy.

— Do córki, drogi panie, do córki.

Ale do jakiej stacji?

A do Częstochowy — córka mieszka z mężem w Częstochowie.

— Ho, ho, ho, to ma pani jeszcze dosyć czasu. Ja także jadę do Częstochowy.

— Ach, jakże się cieszę. To mi pan powie, bo najwięcej się tego boję, żeby nie przejechać. A to pan pewnie wie także, gdzie jest ulica klasztorna, bo tam moja córka i jej mąż mają własny domek?

— Powiedzą pani, jak pani przyjedzie do Częstochowy — warknął Pończoszka i otulił się w futro, bo w wagonie było zimno jak w psiarni.

Ostatni raz jechałam pociągiem jeszcze przed wojną — ponowiła rozmowę gadatliwa kobiecina. O, zupełnie inaczej się jeździło, niż dzisiaj.

— Pewnie — odburknął kupiec.

— Całkiem inaczej, mój panie. W wagonie świeciły się lampy i było ciepło. Był nawet taki przyrząd do regulowania, jak komu było gorąco, to tylko przesunął korbkę i zaraz było chłodniej. I konduktorzy ogłaszali nazwę każdej stacji. A teraz ciemno w pociągu i nie palą. Zamarznąć można.

— Można — stęknął kupiec i pomyślał: to babsko nie da mi się zdrzemnąć do samej Częstochowy.

Mimo to jednak kiwnął się raz i drugi i nawet zachrapał, gdy naraz kobiecina gorączkowo szarpnęła go za ramię.

— Panie, czy to aby nie Częstochowa?

— Jaka tam Częstochowa! Ma pani jeszcze trzy godziny czasu — odpowiedział opryskliwie Pończoszka.

— Bo żeby uchowaj Boże, nie przejechać. I zimno mi już porządnie. Ale gdy przyjadę do córki, to zaraz mi dadzą kolację i gorącą herbatę. Rozgrzeję się.

Pończoszka wyobraził sobie, że to samo żona przygotuje mu w domu. Narazie jednak przytupnął zmarzniętymi nogami, a miarowy stukot pociągu znowu go ukołysał co jednak zdrzemnął się na chwilę, kobiecina łapała go za rękę, dopytując się o Częstochowę.

— Niechże mi pani da święty spokój! Jak będzie trzeba wysiadać, to pani powiem.

— Akurat. Powie mi pan jak pan śpi. Co innego gdyby pan nie spał!

Po jakimś czasie Pończoszka uczuł na ręce gwałtowny uścisk ostrożnej pasażerki.

— Panie, co to za stacja? Częstochowa?

— Częstochowa, Częstochowa — zezłościł się kupiec korzenny, z trudem starając się otworzyć klejące się powieki.

— Bój się pan Boga, a nic pani nie mówił!

Zerwała się żwawo, pochwyciła manatki i wyszła prędko z pociągu.

— Niech mnie kule biją! Baba rzeczywiście wysiadła — pomyślał rozweselony Pończoszka. — A to jej figla spłatałem! No, bo po co się babsko napierało ciągle wysiadać? Co się zdrzemnąłem to mnie budziła!

Pociąg ruszył. Kupiec otrząsnął się już całkiem ze snu. Śmiać mu się chciało, co sobie pomyślał o kobiecinie.

— Zdaje się, minęliśmy dopiero Piotrków. Pewnie tam już przy odbieraniu biletów powiedzą jej: „A pani po co wysiadła?", „Jakto po co? Dopiero się babina złapie za głowę i będzie mnie klęła. A następny pociąg jedzie dopiero na drugi dzień. Będzie miała herbatę i kolację u córki ha, ha, ha...

— Albo inaczej — bawił się dalej przygodą kobieciny. — Może nie zwrócą uwagi na bilet i ona wyjdzie na miasto. „A gdzie tu jest ulica Klasztorna?" — zapyta. „Tu nie ma takiej ulicy". „Co też pan za głupstwa opowiada. Mieszkają ludzie w tej Częstochowie i nawet nie wiedzą, gdzie jest ulica Klasztorna.

Pociąg minął już dwie stacje, a kupiec ciągle jeszcze bawił się kosztem pasażerki zawcześne wysadzonej z pociągu.

— Albo może będzie jeszcze inaczej? Może w Piotrkowie jest także ulica Klasztorna. Pokażą jej ulicę, przyjdzie pod numer, który ma zanotowany i dalejże stukać. Otwierają obcy ludzie „A państwo co za jedni? Przecież to jest dom mojej córki. Numer ten a ten ,ulica Klasztorna". „Wszystko się zgadza, ale to jest nasz dom, a nie tam jakiejś córki". No, no, ludzie to ją tu widzę, jakieś gałgaństwo. Córka mnie zaprasza do siebie czeka na mnie z herbatą i kolacją, a wy mnie chcecie oszukać?" Pokazuje list a tamci w śmiech: „To musi pani pojechać do Częstochowy, według tego, co stoi w tym liście".

Pończoszka aż trząsł się z wewnętrznego śmiechu.

Wszedł konduktor do przedziału przeglądać bilety. Pan Pończoszka przeciągnął się i ziewnął. Wyciągnąwszy bilet do kontroli, zagadał jowialnie do konduktora:

— A kiedy będziemy, panie konduktorze, w Częstochowie?

— Ho, ho — odpowiedział równie jowialnie konduktor — już dawno minęliśmy Częstochowę.

Kupiec zerwał się na równe nogi: Jak? Co? Kiedy?

— Wysiadła nawet z tego wagonu w Częstochowie jakaś kobiecina. Szkoda, że pana nie zbudziła.

— Zbudziła mnie... — jęknął pan Pończoszka. — Psia krew, właśnie mnie zbudziła!



— Czy oskarżony ma jeszcze coś do powiedzenia?

— Owszem, mam, ale czy warto siedzieć dwa lata dłużej?



— Brrr... Niechbym tylko coś znalazł w wódce?

— Nie rozumiem, co ty znajdujesz nie wypiłbym za żadne skarby!


Rys. Zbigniew Kiulin

— Uważasz, zecer dowiedział się o moim romansie z jego żoną i zrobił ze mnie chochlika drukarskiego!

Redagują: Stanisław Sojecki, Stefan Stefański, — Redakcja, Łódź, Piotrkowska 98 — telefon 212-57. Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej.
„Rózgi ukazują się co tydzień. Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42Przedruk bez podania źródła wzbroniony. D-015116